

Tyrania liberalizmu

Nie jestem filozofem, ale jak każdy kto ma oczy do patrzenia i korzysta z tego daru, widzę, że żyję w świecie, w którym prawdziwy triumf odniosła i nadal odnosi kiedyś myśl, a dziś raczej ideologia liberalna. Co nie mieści się we współczesnym kanonie liberalnym, jest stopniowo usuwane z przestrzeni społecznego dyskursu, zaś ci, którzy mają nieliberalne poglądy ogłaszani są niegodnymi przywiązywania jakiegokolwiek wagi do ich słów, chyba że traktować ich głosy jako przykłady ciągle obecnego umysłowego zacofania. Liberalne rozumienie racjonalności nie tylko trwa, ale nawet się umacnia, podczas gdy np. znacznie nowszy pomysł radykalnego odrzucenia nowożytnego racjonalizmu w postaci postmodernizmu umiera, jak na to zawsze zasługiwał, tak szybko, jak szybko powstał. Warto zatem, odwołując się do opinii miarodajnych myślicieli, przywołać pogłębione oceny tego zjawiska.

Krótką diagnoza Ryszarda Legutki

Profesor Ryszard Legutko poświęcił liberalizmowi wiele swoich esejów. Jeden z ostatnich, po części odwołujący się do prac wcześniejszych, otwiera pierwszy numer 50-tego tomu „Modern Age” (zima 2008; esej powstał na podstawie wykładu, jaki autor wygłosił na corocznym zjeździe organizacji o nazwie *Center for European Renewal* w lipcu 2006 roku). Legutko zaczyna od podkreślenia trudności, jakie muszą towarzyszyć próbie zdefiniowania liberalizmu ze względu na wielość wątków i kierunków ideowych w nim obecnych, niekiedy niemożliwych do pogodzenia w różnych historycznych kontekstach. Trudności te rosną jeszcze, gdy czytać polemiki jego reprezentantów i komentatorów, w których najczęściej swobodnie przechodzi się od szerokiego rozumienia liberalizmu do wąskiego i odwrotnie. Ale esej prof. Legutki ma inny cel niż encyklopedyczne opisanie liberalizmu i jego różnych nurtów oraz krytyczne się do nich wszystkich odniesienie (tym zagadnieniom Legutko poświęcił swoje inne studia). Już w tytule eseju autor pyta, jakie błędy leżą u podłoża współczesnego liberalizmu (w oryginale ów tytuł brzmi: *What's wrong with liberalism?*). I, by na takie pytanie odpowiedzieć, wystarcza mu zacząć od następującego stwierdzenia:

Liberałem jest osoba, która przyjmuje dość płytkie (w oryg. thin) spojrzenie na człowieka, społeczeństwo, moralność, religię, historię i filozofię, wierząc, że to najbardziej bezpieczny sposób na zorganizowanie ludzkiego współdziałania. Osoba taka nie neguje możliwości przyjęcia zasad i norm głębszych (w oryg. thicker), mających charakter poza-proceduralny, ale wierzy, iż te opisują preferencje szczególne i zachowują ważność jedynie w ramach szczególnych grup oraz wspólnot. Z tego powodu liberał odmawia przypisania takim zasadom i normom wartości uniwersalnej i protestuje zawsze wtedy, gdy ktoś próbuje narzucić swoje głębokie przekonania, jak bardzo prawdziwe by mu się nie wydawały, na całą społeczność.

Liberałowie mogą się różnić w wielu sprawach, mogą na przykład mieć różne zdania na temat roli władzy państwowej, ale są doskonale zgodni co do tego, że *płytkość założeń antropologicznych, moralnych i metafizycznych jest warunkiem koniecznym zachowania*

wolności i pokoju. Ktokolwiek pogłębia te założenia, [zdaniem liberalistów] generuje ideologiczne konflikty i zostaje [przez liberalistów] uznany za osobę burzącą podstawy pokojowej współpracy oraz otwierającą wrota niesprawiedliwej dyskryminacji.

W swoim eseju, prof. Legutko formułuje pięć zasadniczych zarzutów wobec liberalizmu. Po pierwsze, z racji płytkości swoich założeń w konfrontacji ze całością ludzkiego doświadczenia, liberalizm nie jest interesujący jako teoria. Z takich założeń *nie mogą płynąć głębokie konstatacje*. Świadomie i konsekwentnie przyjęty redukcjonizm nie pozwala liberalnemu umysłowi podjąć kwestii od zawsze uznawanych za konstytutywne dla człowieka. Mówiąc krótko, i te nazwiska przytacza autor, nie przypadkiem nie byli liberałami Platon, Arystoteles, Dante, Szekspir czy Dostojewski. Zaś ci myśliciele, których zalicza się do przedstawicieli liberalnej tradycji w najszerszym sensie tego terminu – Kant, Ortega y Gasset lub de Tocqueville – interesujący są w tym stopniu, w jakim wykraczają poza liberalną ortodoksję.

Po drugie, twierdzenie, iż działa się jedynie *na rzecz ustalenia takiego modelu ładu społecznego, który dawałby maksimum wolności każdemu, w tym arystotelikowi, hegliście, tomście, a także ich przeciwnikom*, bez opowiadania się za którąkolwiek ze stron, zawiera w sobie wewnętrzną sprzeczność i prowadzi w efekcie do uzurpacji – działanie takie z samej swej istoty nie może być „neutralne”; *nie można być organizatorem wszystkiego, jednocześnie powstrzymując się od narzucania rozwiązań dotyczących istoty danego zagadnienia. [...] Nie ma procedur nie-substancjalnych [nie dotyczących istoty]*. Liberał działa jako organizator całej społecznej architektury i – przynajmniej od Locke’a – *twierdząc, że interesuje go jedynie wolność jednostek, w żadnym zaś razie treść wyborów dokonywanych przez te jednostki, jednocześnie feruje kategoryczne osądy co do tego, jak powinien wyglądać rząd, jak powinien rządzić, jak powinno być urządzone życie społeczne, jak powinny być skonstruowane rodziny, jak powinniśmy myśleć i jaki powinien być nasz związek z Bogiem*. Liberalizm stoi samo-oszustwem – w imię programu rzekomo wyjątkowo skromnego realizuje program wyjątkowo ambitny, wyjątkowo arogancko ingerując w substancję społeczną. Dziś nie tylko decyduje o miejscu religii w życiu społecznym, o zmianach w rodzinie, o programach szkolnych, o legalizacji aborcji, ale na przykład zmierza do zalegalizowania tzw. homoseksualnych małżeństw (piszę „tak zwanych”, ponieważ przywołany termin jest oczywistym oksymoronem).

Trzeci zarzut prof. Legutki jest związany z drugim i pozwala wyjaśnić co sprawia, że liberałowie nie przejmują się wspomnianym drugim zarzutem. Otóż liberałowie mieszają dwa różne twierdzenia dotyczące wolności. Pierwsze powiada, że jednostka jest bytem suwerennym i *na jej wolne działania nie powinny być nakładane więzy przez żadną inną arbitralną wolę*. Drugie zaś powiada po prostu, iż *tym, czego wolni ludzie rzeczywiście chcą, jest ład liberalny, jako że to on właśnie najlepiej spełnia ich potrzebę bycia wolnymi*. Utożsamienie owych dwóch twierdzeń, czyli w efekcie utożsamienie wolności z liberalizmem, czyni, że liberałowie mogą jednym tchem opowiadać się za spontanicznym rozwojem rzeczywistości społecznej i żądać, by rozwój ten przebiegał wedle zasad przez nich narzuconych, zachowując zarazem przekonanie o spełnianiu w ten sposób najgłębszych pragnień suwerennych jednostek. *Myślę, że to – pisze dalej Legutko – wyjaśnia pewien, inaczej nie dający się wyjaśnić paradoks: ten mianowicie, iż nowoczesny język liberalizmu nie jest językiem **wolności**, lecz jest językiem **konieczności** [podkr. R. Legutki]*. Paradoks ten oraz zarzut wcześniejszy w sposób oczywisty wskazują na tyrański w istocie charakter współczesnego liberalizmu – kto się nie godzi z liberalnymi rozwiązaniami, zasługuje na wyrzucenie go na śmietnik historii.

Zarzut czwarty dotyczy liberalnej pochwały pluralizmu w wersji obecnej zwłaszcza w poglądach wielu liberałów ostatnich dziesięcioleci. W niewielkim tylko uproszczeniu pogląd ów jest wyrazem dualistycznego widzenia świata, wedle którego w świecie zawsze mieliśmy do czynienia z rywalizacją pluralizmu z poglądem mu przeciwnym, antytetycznym, zwanym nieraz monizmem. *Pluralistami są oczywiście liberałowie. Monistami są ajatollahowie, Hitlerowie, chrześcijańscy fundamentaliści, katolicy integraliści, muzułmanie, konserwatyści i wielu innych. Tertium non datur.* Krótko rzecz ujmując, kto nie jest liberałem, prędzej czy później zostanie ogłoszony monistą i wrogiem. W rzeczywistości ilustracją takiego widzenia świata było już słynne rozróżnienie wolności negatywnej i wolności pozytywnej, dokonane przez Izaaka Berlina. Jak ujął to prof. Legutko, problemem takiego ujęcia jest to, że *do grupy monistów zaliczają się wszyscy najwięksi i najważniejsi filozofowie, od Sokratesa, Platona i Arystotelesa do Hegla i Husserla. Dualistyczna perspektywa pluralistów prowadzi do dyskredytacji tego, co w filozofii najbardziej wartościowe, przy czym – co zaskakujące – ów akt dyskredytacji odbywa się w imię „wolności” i „pluralizmu”.* I nie trzeba się rozwodzić nad tym, że opisane dualistyczne widzenie świata skazuje liberałów na ciągłe ferowanie dychotomicznych ocen (pochwał lub potępień) lub udzielanie ostrzeżeń, zawsze czynionych nie w oparciu o istotę sprawy, jej prawdę lub wartość aksjologiczną, lecz jej polityczne konsekwencje dla trwania liberalnego ładu.

Po piątę wreszcie, *mając obsesję zagrożenia dyskryminacją i zniewoleniem, kryjącego się za każdą społeczną praktyką, filozofią lub normą moralną, liberałowie padają ofiarą retoryki emancypacyjnej i są bezradni wobec nowoczesnych ideologicznych mistyfikacji, często tworzonych w złej wierze i w oparciu o ewidentnie błędne założenia.* Aktywiści ruchów promujących homoseksualizm czy feminizm wcale nie muszą być sympatykami liberalizmu, by wykorzystywać go dla swoich celów. Profesor Legutko porównuje wymarzony świat liberałów z domem towarowym, w którym dostępne są wszelkie towary i każdy może sobie wybrać towar mu odpowiadający, nie zwracając uwagi na modę lub zdanie jakiegoś autorytetu. *W domu towarowym nie ma żadnej etycznej hierarchii, która podpowiedzialaby producentom co produkować i klientom co kupić. W społeczeństwie na kształt takiego domu są towary dla hedonistów i spirytualistów, dla Żydów i muzułmanów, jest pornografia i Pismo Święte, Platon i Stalin, komunizm i leseferyzm. Nikt nie jest pozbawiony możliwości znalezienia, czego szuka.* Z tą wizją, zauważa Legutko, związane są jednak dwa problemy – koncepcyjny i praktyczny. Koncepcyjny jest taki, że w rzeczywistości taki projekt wcale nie jest liberalny lecz radykalnie egalitarny: albo wszyscy spontanicznie zgodzą się, że wszystkie etyczne systemy są równie obowiązujące, albo – co, dodam, jest bardziej prawdopodobne – jakiś najwyższy autorytet będzie musiał narzucić zasadę równości wszystkich grup. Ale taka zasada równości, obojętne jak urzeczywistniona, likwiduje wolność i kulturalną różnorodność. Problem praktyczny polega z kolei na tym, że konsekwentnie urzeczywistniania, zasada ta musi prowadzić do społecznego i politycznego chaosu. *Kiedyś „gwałt” wiązano z torturowaniem ludzi, dziś jest nim klaps wymierzony dziecku. Wolność słowa oznaczała kiedyś walkę o opublikowanie Sołżenicyna; dzisiaj miarą wolności słowa jest pornografia. [...] [Liberałowie] nie mają wątpliwości, że w każdym z tych przypadków chodzi o tę samą zasadę moralną.* W świecie, w którym Sołżenicyn jest publikowany bez ograniczeń, liberałni doktrynerzy budują coraz bardziej pokrętne uzasadnienia dla ideologii włączenia w obieg społeczny pornografii. Broniąc coraz większej liczby absurdów, stają się ideologicznymi komisarzami, widzącymi w każdym kto się z nimi nie zgadza *potencjalnego kandydata na nowego Adolfa Hitlera.*

Diagnoza Jamesa Kalba

Synteza Ryszarda Legutki, tu tylko streszczona, jest tyleż celna co krótka, ponieważ tego wymaga forma wykładu-eseju. Pozwolę sobie ją rozwinąć dołączając dodatkowy komentarz, przy czym – ponieważ piszę ten tekst w ramach przeglądu amerykańskiego – nie odwołam się np. do innych tekstów Legutki, lecz do wydanej w roku 2008 książki Jamesa Kalba pod tytułem *The Tyranny of Liberalism: Understanding and Overcoming Administered Freedom, Inquisitorial Tolerance, and Equality by Command* („Tyrania liberalizmu: zrozumieć i pokonać ordynowaną wolność, inkwizytorską tolerancję i równość na rozkaz”). Kalb nie jest filozofem z zawodu, ale jest myślicielem, który obserwacji i analizie postępów liberalizmu poświęcił wiele lat. W roku 2000 opublikował w „Modern Age” doskonały esej zatytułowany „Tyrania liberalizmu”, by po ośmiu latach przedstawić studium jeszcze doskonalsze, ponieważ nieporównanie bogatsze, szczegółowo rozprawiające się ze współczesnym obliczem liberalizmu (książka liczy ponad 300 stron; *nota bene* wspomniany artykuł Kalba odnotowany został w VIII odcinku tego przeglądu).

Kalb wykazuje najpierw swoistą spójność liberalizmu i konsekwencję w jego przemianach, przydającą liberalnej tradycji atrybut ciągłości mimo, że to czego bronił na początku z czasem bywało zastępowane czymś przeciwnym.¹

Powtórzmy: pierwszoplanowym celem liberalizmu jest maksymalizacja wolności dla każdego – bezwzględnie obowiązuje równość w dostępie do (możliwego) maksimum wolności. Wczesny liberalizm – pisze Kalb – chciał osłabienia instytucji Kościoła oraz instytucjonalnie usankcjonowanej hierarchii społecznej, ponieważ te stały na przeszkodzie wolności osobistej. *Żądał wolności religijnej oraz obalenia formalnych przywilejów, w miejsce formalnego statusu i obowiązującej religii wprowadzając jako zasadę społecznego ładu prawo własności.* Nie likwidował nierówności, ale przenosił ją do „sfery prywatnej”, której liberalne standardy nie obejmowały. Ta „sfera prywatna” w rzeczywistości wcale nie była prywatna, lecz obejmowała szeroki obszar społecznego życia. Dotyczyła nie tylko życia ekonomicznego rodziny, ale także modelu rodziny w ogóle, obecności religii w rodzinie i społeczeństwie, modelu edukacji. Społeczne role kobiet i mężczyzn pozostały różne, własność nie była równo podzielona między ludźmi, nadal istniały różnice klasowe. Tradycyjny ład społeczny został naruszony, ale w dużej mierze – chociaż zmieniony – funkcjonował nadal. Dzięki temu społeczeństwo mogło trwać. Ale to oznaczało, że do spełnienia zasady takiej samej wolności dla każdego było jeszcze bardzo daleko.

Wraz z likwidacją dawnego ładu hierarchicznego, podtrzymującego lokalny i partykularny charakter wspólnot, i wraz z towarzyszącym tej likwidacji rozrostem scentralizowanego państwa biurokratycznego, tradycyjne normy religijne i kulturalne traciły legitymację norm oczywistych i organicznych, uświęconych przez Boga i historię. Państwo weszło w rolę instytucji stojącej na straży – możliwej na danym etapie – maksymalizacji równości i wolności dla każdego. Własność prywatna przestawała być najważniejsza, a przez niektórych

¹ Tu trzeba zaznaczyć, że Kalb – skupiony na współcześnie dominującym obliczu liberalizmu, które nazywa liberalizmem zaawansowanym – abstrahuje od wielości odmian liberalizmu, zwłaszcza odmian dziś mających już tylko znaczenie historyczne. Posługując się mistrzowskim encyklopedycznym opisem myśli liberalnej pióra prof. Jacka Bartyzela w I tomie „Encyklopedii politycznej” (J. Bartyzel, A. Szlachta i A. Wielomski; Polskie Wyd. Encyklopedyczne, Radom 2007) można powiedzieć, że Kalb wychodzi od liberalizmu klasycznego oraz jego rewizji w duchu J. S. Milla, i skupia się na bezwzględnie dziś najważniejszym, jeśli nie jedynie obecnym, liberalizmie demokratycznym z jego relatywistycznym permissywiizmem w sferze etyczno-obyczajowej. Takie uproszczenie nie przeszkadza w wychwyceniu zweryfikowanego przez czas sensu ideowego liberalizmu (por. dyskusję tego sensu w ww. haśle „Encyklopedii politycznej”).

zaczęła być widziana jako zło, ponieważ stawała na przeszkodzie wspomnianemu dążeniu do równości i wolności dla każdego. Z czasem radykalni liberałowie stali się socjalistami, zaś umiarkowani zafundowali Zachodowi państwa opiekuńcze.² W ramach tej samej logiki, dla przykładu, upowszechnione zostało prawo głosu, z czasem przyznane także kobietom.³ I jakkolwiek można się racjonalnie spierać, kto powinien mieć prawo głosu, to w ramach tej samej nieubłaganej działającej logiki, w warunkach współczesnego względnego dostatku dla wszystkich i komfortu dla wybranych, dziś mamy absurdy, które każą w kobiecie widzieć mężczyznę (i odwrotnie) i które nie widzą nic nienormalnego w homoseksualnych „małżeństwach”.

Połączenie prostych norm docelowych ze zgodą na opóźnianie likwidowania rozziewu między pożądanym ideałem a rzeczywistością uczyniło liberalizm zdolnym do dążenia do głęboko radykalnych celów stopniowo, krok po kroku, zapewniając mu trwałość i sukces. Pozwoliło klasycznemu liberalizmowi, z jego ochroną własności prywatnej, parlamentu, ograniczonych rządów i równych praw, obalić ancien régime, by z czasem i stopniowo przemienić się – bez zmiany swej zasady fundamentalnej – w liberalizm rządów scentralizowanych i mających ogromne możliwości ingerowania w życie obywateli [w imię coraz doskonalszej realizacji idei równości].

[...] ambicje państwa sięgnęły dziś tłumienia wszystkiego co postrzegane jest jako niezgodne z ideą równości i technologicznej racjonalności ładu społecznego, ogarniając nawet takie konstytucyjne własności tożsamości ludzkiej jak płeć i wspólnota historyczna.

Praca nad przedefiniowaniem fundamentalnych aspektów życia człowieka w imię takiej samej wolności dla każdego uczyniła państwo suwerenem panującym nad życiem społecznym.

Było to tym łatwiejsze, że liberalizm odrzuca wszystkie racje, które są transcendentne wobec ludzkich celów i samego człowieka, i do tego czyni to w sposób rzekomo neutralny wobec treści metafizycznych, dotyczących prawdziwego statusu ontologicznego człowieka, rzekomo posługując się jedynie środkami proceduralnymi czy, mówiąc inaczej, technicznymi. Mając ustalony cel nadrzędny, czyli maksymalizację wolności dla każdego, i uczyniwszy człowieka miarą wszystkiego, można było celowi temu nadać treść szczegółową, sprowadzającą się do zadania spełniania dowolnych pragnień człowieka. Zaś realizacja takiego zadania miała już właśnie charakter wyłącznie techniczny – polegała na wprowadzeniu w życie odpowiednich

² Później pojawił się jako reakcja na tę postępową ewolucję neoliberalizm, i także neokonserwatyzm, ten pierwszy jako swego rodzaju powrót do liberalizmu ekonomicznego, ale te wątki tu pomijam idąc za tokiem wyводу Kalba (tak jak pomijam – tym łatwiej, że nie potrafił skutecznie sprzeciwić się dominującemu nurtowi liberalizmu – liberalizm konserwatywny; i nie wspominam o ordoliberalizmie, ponieważ ten był tyleż pięknym co zupełnie odrębnym nurtem i także nie przetrwał – pisałem o nim w innych odcinkach tego przeglądu).

³ Za przyznaniem prawa głosu kobietom był już John Stuart Mill, zapewne pod wpływem swojej wieloletniej kochanki, feministki Harriet Taylor, którą poślubił po śmierci jej pierwszego męża, Johna Taylora. *Nota bene*, australijski filozof, znawca Hume’a i neopozytywista, a przy tym jeden z najbystrzejszych obserwatorów zachodniej nowoczesności, zmarły w 1994r. prof. David Stove uważał, że to jedynie kłopoty wokół związku z panią Taylor doprowadziły Milla do słynnej pochwały „eksperymentów w sposobie życia” (ang. *experiments in living*) i że najprawdopodobniej sam byłby przerażony dowiedziawszy się, jakie też eksperymenty praktykowała współczesna mu niesławnej pamięci komuna z Oneidy w stanie Nowy Jork (por. znakomity zbiór esejów Stove’a, „On Enlightenment”, Transaction Publishers 2003, str. 152-3). O czym piszę, by zilustrować tę słabość liberalnych „przykazań”, że nierzadko *implicite* pochwalały coś, czego nie chciały (może najlepszym przykładem było poparcie demokracji przez samego J. S. Milla, który równocześnie obawiał się „tyrании większości” – por. wyczerpującą dyskusję tego problemu przez Eryka von Kuehnelt-Leddihna, wybitnego kontynuatora myśli ordoliberalnej, w rozdz. 2 jego książki „Liberty or Equality”, Christendom Press 1992, wydanie w 40-lecie wydania pierwszego).

metod zarządzania organizacją społeczną. Tymi, na których spoczywa obowiązek zarządczy i którzy jedyni mają po temu kompetencje, są „eksperci”.⁴

Taka technologiczna racjonalność ładu społecznego jest abstrakcyjna i dzięki temu nie podlega ograniczeniom kiedyś narzucanym przez religię, obyczaj i historię, przeciwnie, otwiera drogę do coraz bardziej radykalnego odchodzenia od tego, co kiedyś było znakiem normalności. Człowiek żyje w domu towarowym przywołanym przez Legutkę, i jeśli nie dał się zwariować, zamiast ładu słusznie widzi chaos, zamiast poczucia wolności ma poczucie wyobcowania i zniewolenia do życia w obcym mu świecie.⁵

James Kalb odnotowuje bezradność człowieka wobec sytuacji, w jakiej się znalazł. Na frustrację człowieka nie tylko nie zwraca uwagi establishment polityczny i opiniotwórczy, media, ale i sam człowiek nie potrafi dobrze wyartykułować swoich żali. Rzecz w tym, że te żale nie dają się wyrazić w języku liberalnej racjonalności, i stąd są niejako z definicji irracjonalne. Tyrania liberalizmu jest łagodna – nie wyrывa się człowiekowi języka, a tylko unieważnia lub skazuje na kpinę wszystko, co do dominującego liberalnego kanonu nie należy.

Kalb zdaje sobie sprawę, że przypisanie współcześnie panującemu liberalizmowi charakteru tyrańskiego może kogoś zaskoczyć. Ale nie cofa się przed nazwaniem reżimu liberalnego również totalitarnym:

Totalitaryzm jest konsekwencją nowoczesnego obalenia transcendencji i deifikacji ludzkiej woli. [...] „Tyrański” i „totalitarny” nie oznacza „brutalny”. [...] Tyranią jest nieodpowiedzialny rząd, którego działania nie są ograniczone przez [utrwalone] prawo i obowiązujący obyczaj. Reżimem totalitarnym jest tyrania oparta na ogarniającej wszystko teorii, która eliminuje wszelkie instytucje nie podlegające kontroli elity rządzącej zdolnej sprawić, by panująca teoria uzasadniała realizację jej interesów. W tym sensie monarchie średniowieczne nie były ani tyrańskie, ani totalitarne. Były ograniczone przez prawo i obyczaj oraz złożony, hierarchiczny, odwołujący się do lokalności i lokalnych partykularyzmów system organizacji życia świeckiego i duchowego, wielość instytucji niezależnych lub słabo zależnych od monarchy, w tym Kościoł. Dziś jest inaczej ze względu na osiągnięty poziom centralizacji życia społecznego oraz uczynienie wszystkich istotnych instytucji społecznych agendami państwa.

Za tym co dotąd napisałem referując wywód Kalba kryją się zasadnicze słabości współczesnego liberalizmu (częściowo bezpośrednio wynikające także z pięciu zarzutów Legutki oraz opisane w jego innych szkicach). Autor poświęca im wiele miejsca. Streszczając: (1) Liberalizm chciał społeczeństwu równych osób pozwolić kontrolować państwo, a uczynił państwo kontrolerem społeczeństwa. (2) Liberalizm chciał co najmniej zredukować wpływ religii na politykę, a sam stał się podobny religii. (3) Liberalizm może istnieć tylko tak długo, jak długo niespełnione pozostają jego obietnice. (4) Liberalizm ma wpisane w siebie źródła własnej autodestrukcji.

⁴ Eryk von Kuehnelt-Leddihn, *op. cit.* str. 118, zwracał już w roku 1952 uwagę na coraz częstsze wołanie o rządu ekspertów, narzucających *pogański utylitaryzm z najgorszą pieczęcią benthamowską*.

⁵ Gdy piszę te słowa, polski Sejm przyjął, zaś p.o. Prezydenta RP podpisał, ustawę „o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie”, która przez posługiwanie się nieprecyzyjnym językiem oraz postawienie państwa ponad rodziną (sic!) odbiera rodzicom część władzy rodzicielskiej i zagraża samej instytucji rodziny. Jestem pewien, że wielu posłów nie rozumiało co czyni poddając się dyktatowi garstki komisarzy ideologicznych – taki jest dziś poziom społecznego i politycznego chaosu w naszej ojczyźnie.

Pierwsza słabość jest zbyt oczywista, by się nad nią jeszcze zatrzymywać. Gdy chodzi o drugi problem, wynika on stąd, iż każdy rząd musi posiadać jakąś legitymację. Takiej legitymacji dostarcza religia, która mówi, co jest prawe, a co nie, gdzie leży prawda. Liberalizm programowo głosi w tej materii swoją niewiedzę, pozostawiając decyzje dotyczące tej sfery człowiekowi. W ten sposób liberalizm deifikuje człowieka, który staje się miarą wszystkiego i którego indywidualna wola zostaje ogłoszona źródłem wartości.⁶ Ta nowa „religia” jest o tyle żalosa, że jej system „moralnych prawd absolutnych” opiera się na zanegowaniu poznawalności prawdy moralnej. *Praktyczna siła liberalnego podejścia* – pisze Kalb – *polega na ukryciu tego faktu pod płaszczykiem „otwartości i tolerancji”*. Z jednej strony nie zmienia to religijnego zapału liberałów nawrócenia wszystkich na ich wiarę, z drugiej nie pozwala uniknąć własnej klęski: *ta religia nie daje nic, ponieważ nie ma sensu*.

[...] Jej ogólna niespójność prowadzi do niespójności w szczegółach: liberalna neutralność jest jednostronna, liberalna tolerancja jest dyktatorska, liberalny hedonizm odmawia nam tego, czego chcemy, zaś liberalna wolność centralizuje władzę, eliminuje normy, które czynią możliwym wolne życie społeczne, niszczy nasze związki z innymi uzależniając nas od systemów uniwersalnych, pozostających całkowicie poza naszą kontrolą. W imię dostarczenia nam czego pragniemy, liberalizm odmawia nam wszystkiego co warte posiadania.

Powyższa konstatacja prowadzi do uwypuklenia kolejnych z wymienionych słabości liberalizmu. Równość wszystkich i taka sama wolność dla każdego, wymagająca całkowitego wyeliminowania tradycyjnych autorytetów, wspólnych przekonań, przyzwyczajzeń, przywiązań, jest możliwa tylko jako postulat do spełnienia, jako utopia. Normalne społeczeństwo może istnieć tylko tak długo, jak długo owe tradycyjne więzi społeczne istnieją. Zbliżanie się do liberalnego celu ostatecznego nie jest zbliżaniem się do radosnego demoliberalnego „końca historii”, lecz do terroru, czyli pełnego zaprzeczenia owemu celowi.⁷

Tym niemniej radykalizowanie swoich działań jest przeznaczeniem liberalizmu. Natomiast ludzie mogą nie lubić liberalizmu jako pewnej całościowej wizji, albo mogą nie lubić jego szczególnych ekscesów, ale z ochotą przyjmują wiele szczegółowych owoców towarzyszących jego rozwojowi, jak choćby wzrost dostatku, czy konsumpcjonizm i ogłupiającą rozrywkę, które doskonale służą fasadowej ale masowej demokracji. Wszakże nieunikniona radykalizacja ma swoją cenę, pisze Kalb:

⁶ Nie jest tu ważne, że dzieje się tak wbrew intencjom samego liberalizmu, który – by użyć terminu Eryka Voegelina – nie jest „religią polityczną”, zdolny jedynie do burzenia, przede wszystkim zburzenia języka wartości i znaczeń (por. streszczenie porównania przez Voegelina filozofii Comte’a i liberała Littrégo w odcinku XXV niniejszego przeglądu, ARCANA 77). Jest inną sprawą, że Romano Amerio – który przywołując myśl Simone Weil i Malebranche’a analizował w §332 swojego fundamentalnego dzieła pt. „Iota unum” metafizyczny kryzys naszych czasów – zwróciłby raczej uwagę na ewentualne liberałów bałwochwalstwo z bożkami w postaci niezależnych lub niewspółmiernych wartości, niż wytknął im (oczywiście niezamierzoną) deifikację człowieka.

⁷ Pierwsi – jak słusznie odnotowuje Kalb – zauważyli to neokonserwatyści i wiele zrobili dla deregulacji ekonomii. Wszakże deregulację łatwo udało się „obłaskawić” i zbudować taki system jej nadzorowania, który uczynił ją elementem świata liberalnego. Deregulacja została wpisana w panujący ustroj demoliberalny i menedżerski (ten, którego nadejście proroczo opisali konserwatywni liberałowie Wilfryd Pareto i Gaetano Mosca, których trud podjął w USA James Burnham i za nim, w ostatnich dekadach, pisali o nim – wielokrotnie w tym przeglądzie przywoływani – najpierw nieżyjący już Samuel Francis, a potem Paul Gottfried). Ale jak obłaskawić tradycję, jej jeszcze żywe przejawy społeczne oraz niezależną myśl, by jednocześnie pozostały czym były i stały się liberalne? Tego uczynić nie sposób. To dlatego, chociaż neokonserwatyści starali się bronić tradycyjnego ładu moralnego, ale chcieli też kompromisu z liberałami (jako że sami wyrosli z amerykańskiej lewicy), z owej obrony nic nie mogło wyjść.

Z upływem czasu, rosnąca irracjonalność i opresyjność reżimu liberalnego osłabią jego atrakcyjność oraz zdolność funkcjonowania. Przy braku wspólnej kultury reżim będzie musiał odwołać się do siły i grupowej pewności siebie jako zasad organizacji. Liberalizm będzie funkcjonował najwyżej jako retoryczne uzasadnienie działań w istocie pozbawionych zasad.

Radykalizujące się państwo liberalne nie będzie mogło trwać bez końca opierając się na swojej wcześniejszej efektywności i własnej racjonalności lub atrakcyjności dla ogółu. Będzie zbyt bliskie obalenia społecznych fundamentów, na których bazuje życie publiczne i inne formy społecznej organizacji.

Dostatek, globalny rynek, elektroniczne środki komunikacji osłabiają międzyludzkie i kulturalne więzy. Rozmycie różnic płciowych oraz ograniczeń nakładanych na zachowania osób różnej płci rozkłada rodzinę. Państwo opiekuńcze odbiera nieformalnym związkom międzyludzkim rolę, jaką spełniały w strukturach, do których państwo nie miało dostępu. Ten ostatni proces jest jeszcze wzmacniany przez wysokie opodatkowanie obywateli. Wielokulturowość niszczy funkcje pełnione przez daną kulturę w danej historycznej wspólnocie i czyni z tej kultury oraz wspólnoty abstrakcyjne zasady przeciwstawne pozostałym, państwo desygnując do roli mediatora, niezbędnego, jeśli chce się uniknąć gwałtownych konfliktów międzykulturowych. Centralizacja i profesjonalizacja życia intelektualnego i kulturalnego uniemożliwiają poważną debatę nad kwestiami o fundamentalnym znaczeniu. Życie i myśl ulegają trywializacji. [...] Polityka, całkowicie wyzuta z celów transcendentnych, kieruje się ku obaleniu rzeczy, które czynią nas ludźmi, ponieważ rzeczy te komplikują zarządzanie i funkcjonowanie rynków ekonomicznych oraz stoją na drodze do spełnienia dowolnych pragnień.

Tymczasem człowiek, mimo że tak bardzo interesowny i często tak bardzo ogłupiony masową rozrywką, nie zrezygnuje z myślenia o rodzinie i wychowaniu dzieci, o lojalności wobec wspólnoty, w tym narodowej, o sensie ofiary dla tych wspólnot, o życiu i śmierci. W ten sposób, nawet jeśli nie będzie tego umiał wyartykułować, dostrzeże, że *liberalny ład utracił kontakt ze światem, którym rządzi, i zmierza ku autodestrukcji*. Liberalizm, jakkolwiek oparty na fałszywej ontologii człowieka, pisze w innym miejscu Kalb, *nie jest systemem bezmyślnej przemocy. Zależy od teorii, przynajmniej częściowo, a ci, którzy żyją słowem, także od słowa umierają*.

Porażkę nowoczesnego projektu budowania Ładu – a to praktycznie znaczy projektu na modłę liberalną – opisuje wielu myślicieli spoza liberalnego grona (tu wymienię tylko Habermasa i jego stanowisko postsekularystyczne, oraz patrzących z innych perspektyw Legutkę i – zwłaszcza w „Demokracji peryferii” – Krasnodębskiego). Zmierzch liberalizmu (właściwie demoliberalizmu) dostrzegają liberalni czy poliberalni rewizjoniści (jak Gray, Fukuyama, Zakaria⁸) i także wierni liberałowie, jak Król. W tym ostatnim przypadku mam na myśli bodaj najświeższą książkę prof. Marcina Króla, „Bezradność liberałów: Myśl liberalna wobec konfliktu i wojny”, moim zdaniem ważną i często ciekawą (zwłaszcza dla niespecjalisty), na pewno niewolną od miejsc słabszych i niepotrzebnej agresji, z nonsensowną tezą o tym, że cywilizacja liberalna była najwspanialsza w dziejach, i radosnym

⁸ Ciekawe, że autorzy ci nadal żyją w przekonaniu, iż na chrześcijaństwie nie da się już oprzeć budowy ładu społecznego (por. moje uwagi w XXVI odcinku tego przeglądu, ARCANA 90 (6/2009) i także odcinek XIX, ARCANA 58-59 (4-5/2004), gdzie przypomniałem Orestesa Brownsona – bodaj pierwszego Amerykanina, który już 150 lat temu wiele miejsca poświęcił bezsensowności projektu budowy Ładu bez Boga).

podpisaniem się pod „sukcesami” ostatnich czterech dekad XX wieku⁹, ale nade wszystko będącą uczciwym i smutnym świadectwem, że do liberalizmu jak ulał pasuje powiedzenie Stefana Kisielewskiego o socjalizmie, który tym się charakteryzuje, iż cały czas musi rozwiązywać (nie dające się rozwiązać) problemy, które sam stwarza.

Co zatem czeka człowieka Zachodu w poliberalnej przyszłości?

Co dalej?

Kalb poświęca temu zagadnieniu prawie połowę swojej książki. W niniejszym omówieniu ograniczę się do przytoczenia tylko paru tez reprezentatywnych dla całości jego stanowiska. Po pierwsze Zachód po liberalizmie może oczywiście dalej doskonalić system totalitarnej tyranii, pogłębiając chaos i neoprymitywizm ładu społecznego i politycznego:

Poliberalna przyszłość może przypominać posowiecką Rosję, tyle że ze słabszym pierwiastkiem wspólnej kultury i bardziej zróżnicowanymi oraz liczniejszymi Czeczenami.

[...] Jakikolwiek rodzaj niezależności – ekonomicznej, społecznej, intelektualnej czy duchowej – staje się niemożliwy, ponieważ wymagałby od człowieka posiadania takiej natury, w której istnienie przestał wierzyć. Zaś każdy kto chciałby odnalezienia autorytetu innego niż pieniądz, ambicja, władza lub moda, jest skazany na porażkę, ponieważ przy braku ustalonego obiektywnego ładu moralnego nie może apelować do niczego innego, jak tylko do własnej woli. Bliżnim wydalby się zatem buntownikiem bez przyczyny, człowiekiem dążącym do jakiegoś pozbawionego sensu samopotwierdzenia.

I po drugie, nie należy sądzić, iż inne, pożądane wyjście z okresu liberalnego nie jest możliwe, tyle że – mówiąc najdelikatniej – nie będzie łatwe i będzie wymagało długiego czasu. Nie trzeba powtarzać, że panowanie liberalnej doktryny poczyniło ogromne spustoszenia w tkance społecznej, doprowadzając do takiego stanu jakby przed społeczeństwem nie było żadnej alternatywy. Na jakiś nagły i skuteczny bunt nie ma zatem żadnych szans. Ale:

Nowoczesne pojmowanie wiedzy i rzeczywistości nie jest pułapką bez wyjścia, a jedynie sposobem myślenia z błędami i ograniczeniami, które w końcu staną się oczywiste, a to z kolei uczyni ten sposób myślenia niegodnym uwagi. [...] Jesteśmy nie tylko nowoczesnymi ludźmi, ale istotami, które wiedzą swoje życia w świecie nieredukowalnym do tego, w jaki sposób go obecnie wyjaśniamy.

Pożądane zmiany będą musiały być oparte na mocnym i stabilnym fundamencie, dziś ledwie obecnym, jakby ukrytym w katakumbach. Tym fundamentem, zdaniem Kalba jedynym pewnym i zdolnym spełnić zadanie, jest powrót do tradycji, na nowo ożywienie wszystkiego tego, co tradycyjne i wartościowe – w Ameryce to na przykład protestantyzm z jego związkami z amerykańską historią oraz amerykańskim darem samoorganizacji, katolicyzm wiążący korzenie amerykańskiego społeczeństwa ze średniowiecznym Christianitas, broniący właściwego rozumienia prawa naturalnego, oraz judaizm z jego długim doświadczeniem zachowania integralności wspólnoty w warunkach złożonych i tej wspólnocie

⁹ Czy może cieszyć obecność Daniela Cohn-Bendita w Parlamencie Europejskim albo – z drugiego bieguny ważności spraw – jak można zapomnieć, że w samych Stanach Zjednoczonych ostatnie cztery dekady XX wieku to 40 milionów zabitych nienarodzonych dzieci?

niesprzyjających. Kalb przekonuje, że powrót do tradycji jest możliwy, że trzeba i można znaleźć właściwe proporcje w wykorzystaniu różnych tradycji (np. nie można starać się z Ameryki uczynić kraju bardziej katolickiego niż protestanckiego) i stara się zarysować nowy „marsz przez instytucje”, tyle że tym razem marsz w przeciwnym kierunku niż to przyniosły ostatnie wieki (wspomniany termin u Kalba nie pada). Stara się też możliwie wyczerpująco opisać trudności, jakie dziś stoją na przeszkodzie rozpoczęciu owego marszu, ale uważa je za możliwe do pokonania.

W największym skrócie, Kalb postuluje utworzenie pospolitego ruszenia tradycjonalistów, podejmujących otwarte i bezkompromisowe starania o odbudowę struktur lokalnego samostanowienia i lokalnej kooperacji, decentralizację władzy i rządu minimalne, wzrost roli religii w życiu społecznym. Wielką wagę przypisuje do zmiany modelu edukacji, w chwili obecnej postulując popularyzację uczenia dzieci w domach prywatnych przez rodziców lub osoby przez nich wyznaczone (tzw. *homeschooling*). To co pisze, jest w jakiejś mierze rozwinięciem Artura Versluisa „małych republik Jeffersona” z numeru 48/1 „Modern Age” (zima 2006).¹⁰

Kalb ogranicza swoją analizę do Stanów Zjednoczonych. Dużo miejsca poświęca krytyce takich prób przeciwstawienia się liberalnej doktrynie, które uznaje za nie dość fundamentalne w źródłach, do których się odwołują. Taką jest np. idea prof. Paula Gottfrieda¹¹ odwołania się do populizmu i ruchów populistycznych. Populizm jest środkiem walki politycznej, a nie kulturalnej, i przez to zawsze okazuje się zbyt płytki, by zaowocować głębokim przeoraniem praktyki społecznej. Zwraca też Kalb słusznie uwagę na przeniknięcie do środowisk religijnych konserwatystów oraz do kościołów chrześcijańskich liberalnego ducha postępu, i stąd częsty tam rozkwit tak czy inaczej pojmowanego millenaryzmu. Dość szczegółowo i w sposób podobny wielu innym autorom wyjaśnia dlaczego różne odmiany amerykańskiego konserwatyzmu nie mogły skutecznie przeciwstawić się postępowi liberalizmu.

W pewnym miejscu daje Kalb takie podsumowanie:

Przejście od Johna Locke’a do Johna Rawlsa wymagało trzystu lat. Być może coś podobnego czeka nas, by odnowić tradycję.

Chilton Williamson, jeden z redaktorów „Chronicles”, jest przekonany, że potrzeba pokoleń, by taka odnowa mogła stać się możliwa.¹² Nieunikniony jest najpierw okres (coraz mniej łagodnego) poliberalnego terroru. Rządząca elita menedżerska – łącząca wielki biznes, świat finansów oraz polityków – mająca poparcie, jak to się wdzięcznie mówi w USA, szczebiotliwej klasy¹³, dawno temu zorientowała się, iż liberalne ramy znakomicie się nadają do zracjonalizowania jej istnienia i jej władzy.¹⁴ Żaden ruch polityczny (w tym dziś

¹⁰ Por. odcinek XXIV niniejszego przeglądu, ARCANA 73 (1/2007).

¹¹ Między innymi z jego książki pt. „After Liberalism: Democracy in the Managerial State”. *Nota bene* wielkim zwolennikiem populistycznych ruchów był też Samuel Francis, obydwaj zniechęceni bezradnością rodzimego konserwatyzmu.

¹² Patrz „Chronicles”, kwiecień 2010.

¹³ Terminem tym określa się opiniotwórcze środowiska uczelniane i medialne (ang. *chattering class*).

¹⁴ Na marginesie tylko, ale warto tu oddać „sprawiedliwość” amerykańskiej klasie politycznej, która potrafi się odnaleźć w każdej sytuacji ustrojowej, ponieważ ma znakomicie – i można rzec, naukowo – rozwinięty system klientelizmu politycznego. Dodajmy, że system ten został w pełni rozwinięty w nowojorskim środowisku *Tammany Hall* już na przełomie XIX i XX wieku, z wielkim i twórczym udziałem Georga Washingtona Plunkitta (ów polityk i zarazem guru środowiska uważał, co szczerze przyznawał, że prawo rządzące służbą cywilną jest *największym przekretem jego czasu* i sam wymyślił podzielenie nieuczciwego bogacenia się na ...

zdawałoby się kwitnący ruch „tea party”) nie ma szans na wpisanie się w te ramy po to, by je roznieść. Koniec okresu poliberalnego terroru – jakkolwiek nieunikniony – będzie miał charakter systemowy i za przyczynę będzie miał nie tylko mechanizmy autodestrukcji wpisane w projekt zaawansowanego liberalizmu, ale jakieś głębokie przebudzenie społeczne mające fundament w kulturze, a nie polityce. Jakże to będzie przebudzenie, tego nikt nie wie.

Thomas Fleming, redaktor naczelny „Chronicles”, tak pisze w numerze czasopisma z czerwca 2010:

Nie jesteśmy pierwszym ludem, który jest obcym na własnej ziemi. Ucywilizowani Rzymianie nadal żyli po stracie na rzecz barbarzyńców Italii, Galii i Brytanii. [...] Biedni Rzymianie przynajmniej nie stracili swej cywilizacji bez walki i, w większości, nie postradali z własnej woli swojej kultury i tożsamości. [...] W istocie ucywilizowani Rzymianie w Italii i południowej Francji zachowali dość ze swoich instytucji – Kościoła, kultury miejskiego życia, małżeństwa, dobrych manier – by w ciągu paru wieków Europa znalazła się na drodze do wspaniałej odbudowy cywilizacji, od Karola Wielkiego począwszy a na Dantem około pięćset lat później skończywszy.

Fleming przypomina św. Benedykta i św. Grzegorza Wielkiego, św. Augustyna z Canterbury, biskupa Wenancjusza Fortunata i jego przyjaciela Grzegorza z Tours. Pisze, że żaden nie załamywał rąk, jak uwielbiają to dziś czynić amerykańscy konserwatyści, lecz czynili, co czynić należało. Było im o tyle łatwiej, że ówczesni barbarzyńcy byli najeźdźcami, podczas gdy obecni są naszymi sąsiadami, albo i naszymi dziećmi, *jeśli nie poświęciliśmy im dość uwagi*, ale byli zarazem w sytuacji nieporównanie trudniejszej, zmuszeni działać – jak Fortunat i Grzegorz z Tours – *wśród gwałtowniejszej i bardziej zdecydowanej populacji nieokrzesanych łobuzów niż ta, którą dziś spotykamy na ulicach Manhattanu. Gdyby tacy ludzie jak oni czy jak św. Augustyn z Canterbury usłyszeli biadolenia naszych konserwatystów, opowiedzieliby im swoje historie ludzi ucywilizowanych, którzy mieli odwagę stanąć przeciw barbarzyńcom i – na przekór wszystkiemu – ich nawracać i cywilizować.*

Lipiec 2010

uczciwe i nieuczciwe – nie myślę się, w oryginale to nazywał *honest* oraz *dishonest graft*). System działał najpierw w Nowym Jorku, później w różnych miastach i stanach USA, i w końcu – tu powołuję się na historię Johna Willsona i jego artykuł w „Chronicles” z czerwca 2010 – F. D. Roosevelt przeniósł jego zasady na poziom federalny, gdzie udoskonalił go jeszcze J. F. Kennedy (tu wypada zauważyć, że Nowy Ład Roosevelta, w orygu. *New Deal*, to w dosłownym tłumaczeniu Nowy Układ lub Nowa Transakcja – w tym przypadku bezpośrednio z grupami społecznymi korzystającymi z dobrodziejstw państwa opiekuńczego, z pominięciem układów z lokalnymi działaczami partyjnymi lub przedstawicielami biznesu). To także zasady owego klientelizmu od dawna rządzą katastrofalną dla amerykańskiego narodu polityką imigracyjną USA.